

A może „kolej na ryż”? Trudno czasem znaleźć w indyjskim chaosie odpowiedni tytuł. Słowa mienią się i przepoczwarzają jak niezliczone tłumy rzeźb na wieżach chennajskich świątyń. Nie tylko słowa. Indyjskie przewodniki turystyczne są przeważnie bardzo udane. Tym niemniej Hindusi lubią to co dobre i wypływa z przeszłości. Dlatego obok wspaniałych nowych publikacji lubią wznawiać w nieskończoność starsze osiągnięcia wydawnicze, nie podając oczywiście ich sięgającej głęboko w czas metryki. Mieliśmy taki właśnie przewodnik po Chennaiu...



Na usprawiedliwienie dodam, iż mój przewodnik był tylko krótkim opisem atrakcji Chennaiu załączonym do mapy, która nie była bardziej zniekształcona od nowych map. Po doświadczeniach z Delhi, gdzie mapy zniekształca się z ogromną dokładnością z uwagi na centralne siedziby wojska i rządu, plan Chennaiu był

prawie że idealnie dokładny. Tym niemniej mogliśmy przeczytać w książeczce dołączonej do mapy, iż Chennai posiada ultranowoczesną kolej miejską, stanowiącą wysoce ambitne i nowoczesne rozwiązanie komunikacyjne na światową skalę. „Ha!” – pomyślałem sobie. – „Skoro ktoś z Północnych Indii, sceptycznych wobec Południa poleca nowoczesną chennaijską kolej mogę się spodziewać czegoś wspaniałego! Zwłaszcza iż ów ktoś pochodzi z Delhi, gdzie mamy przecież doprawdy nowoczesne i wielkie metro... To co będzie w Chennaiju? Kolej magnetyczna? Tak jak w Szanghaju?”. Gdy zatem udaliśmy się do dworca Egmore, gdzie ultranowoczesna kolej miała swój przystanek, byłem niespokojny. „Dworzec jest ładny, zgoda” – mówiłem do nieco zniecierpliwionej Kai, – „ale jak mogli nie oddzielić owego cuda, Magnetic Levitation, MAGLEV, od pełnego tłumów podróżnych dworca?”. Moje rozżalenie wzrosło, gdy aby dostać się do ultranowoczesnej kolejki miejskiej musieliśmy po prostu przejść rampą na zupełnie zwyczajny, położony na końcu dworca peron. Miejsce, gdzie kupowało się bilety, przypominało dość obskurny dworzec autobusowy. Małe pomieszczenie z brudnymi ścianami, wszystko opisane ręcznie i w niezrozumiały sposób, jedno okienko z brudną szybą, gdzie nabywało się przypominające strzępy gazety bibułkowe bilety. Zeszliśmy na peron i wjechał skład elektryczny liczący sobie co najmniej 30 lat, być może pięć razy w okresie swojego istnienia czyszczony. Wewnątrz znajdowały się rozkładające się siedziska i niewielka przestrzeń korytarza pomiędzy nimi. Ludzie stali na podestach wejściowych, przy nigdy nie zamykających się, rozpadających się od rdzy zasuwanych drzwiach. Moje rozczarowanie było tak wielkie, iż przypominałem disnejowskiego kacзора Donalda. Zagryzłem zęby, a z moich uszu i nosa wypływały kłęby dymu. Nie pocieszył mnie fakt, iż kolejka nie jest bardzo zapchana i spokojnie można usiąść. Mijaliśmy różne stacje, z których większość pochodziła z XIX wieku i pomimo niewątpliwego uroku, bynajmniej nie miała w sobie nic „utranowoczesnego”. Gdy wysiedliśmy na stacji „Fort” okazało się, iż najprostszą drogą jest zagrodzona przez potężną bazę wojskową. Musieliśmy zatem przejść po rozległym

trójkącie, obejść wszystko dookoła, co, nieco wbrew mapie, stanowiło chyba pięciokilometrowy spacer. Kaja, która w przeciwieństwie do mnie nigdy w dzieciństwie nie bawiła się kolejką elektryczną, nie mogła zrozumieć szoku, pod którego wpływem ciągle byłem. Tymczasem do naszej drogi wokół zagrodzonego przez jednostkę wojskową fortu zbliżył się kanał. Smród bił od niego straszliwy, a tym razem nastawieni byliśmy na to, iż odwiedzimy jakieś spokojne, w miarę zadbane turystyczne miejsce. Nie tak często nam się to zdarza, więc skoro już się zdarzyło, nasze oczekiwania były jasne i sprecyzowane. Nic się z nimi nie zgadzało. W pewnym momencie z krzewów porastających kanał wyszedł prawie nagi jegomość z włócznią, zapewne należący do najstarszych, plemiennych mieszkańców Subkontynentu, zwanych Adiwasi. Gdybym nie uległ ciemnym emocjom, z pewnością zagadnąłbym go i zdobył kilka ładnych zdań do pamiętnika, ale w tej chwili raczej zastanawiałem się, czy się na niego rzucić, czy też uciekać, zwłaszcza, że i on nie wyglądał w tym momencie na osobę w pełni zadowoloną z życia i poranka. Kiedy Adiwasi zatrzymał się przed nami w cieniu i podejrzanie ucichł, a ja zacząłem zastanawiać się nad materiałem na własną włócznię, Kaja zaproponowała zmianę planów. Mieliśmy się udać na „wysoc atrakcyjną wyspę” stanowiącą łącznik pomiędzy fortem i George Town, a wspomnianą wcześniej główną aleją Chennaju. Wyspa nie okazała się atrakcyjna, gdyż właśnie wymieniano chodniki, przy jedynej wyspowej drodze (będącej sześciopasmówką), zaś na przechadzkę po okolicznych parkach, z uwagi na odór tworzących wyspę kanałów, nie mieliśmy ochoty podobnie jak wszyscy mieszkańcy Chennaju. Na wyspie był jeden pomnik, wyglądający jak pozłacany, mieszczący się na środku owej sześciopasmówki. Wpierw minęliśmy go obojętnie, po czym wróciliśmy zrezygnowani i zrobiliśmy zdjęcia. Nie mieliśmy siły na więcej, zatem poszliśmy do gigantycznego hangaru stacji kolejki miejskiej wznoszącego się na cuchnącym kanale. Jak zwykle dochodziło się do stacji prawie połąną drogą, zaś wszystkie jej pierwsze kondygnacje stanowiły dziwne, betonowe pustostany. Natomiast górna część, tam gdzie wjeżdżały pociągi, ładnie nawiązywała

do estetyki neomogolskiej zasugerowanej w tym mieście przez Brytyjczyków. Pomimo, że usiadłem na zaplutej betelem, nigdy nie sprzątanej żelaznej ławeczce, humor mi zaczynał wracać. Nadjechał rozklekotany pociąg i, podobnie jak większość Tamilów, stanąłem w drzwiach, mając przed sobą otwarte widoki na piękny Chennai, gdzie znad budynków czasem ukazywał się ocean. Oczywiście w pierwszej perspektywie miałem do dyspozycji slumsy przycupnięte nad straszliwie śmierdzącym kanałem, który gdzieniegdzie rozszerzał się niczym jezioro. Jak powiedział nam później Navaneet, kanał jest niezaleczoną raną miasta, już od dawna powstają projekty jego udrożnienia i nawet płaci się za nie wykonawcom, ale nic się nie zmienia. Natomiast kolej, która – jak mogliśmy zauważyć – nigdy nie cieszy się tłoczną indyjską popularnością, stanowi swego rodzaju świadectwo korupcji. Poprowadzono ją nie tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, a kosztowała krocie. Jak się dowiedziałem później z przewodnika, uwagi o „ultranowoczesności” były robione w roku 1965, kiedy to nie było jeszcze nawet cienia metra w Delhi i z pewnością wagoniki chennaijskiej kolei mogły się wtedy wydawać dość postępowe. Kolej próbowaliśmy ujarzmić głównie z uwagi na finanse. Poruszanie się cały czas rykszami bardzo obciąża budżet. Tym niemniej kolej rzeczywiście tylko niekiedy była nam po drodze.

Jako, że tego dnia Navaneet był zajęty, my zaś nie mogliśmy się rozeznąć w siedmiu posiadanych już przez nas programach różnych audytoriów (każde oferowało przynajmniej cztery koncerty na ten dzień), udaliśmy się ponownie na festiwal Balamuraliego Krishnana, gdyż młodzi tancerze tam prezentowani byli znakomici. Prócz tego audytorium gdzie odbywał się festiwal młodych i jeszcze dwa (tylko dwa...) inne obok niego znajdowały się niemal tuż obok stacji kolejowej. Ujrzeliśmy zatem dwoje tancerzy bharatanatyam – wpierw N.R. Santhagopalam, później, jak zwykle jeszcze lepszy spektakl Raji Gopałkrishnan. Navaneet nie dysponował dobrymi informacjami na temat tanecznych wydarzeń sezonu, gdyż podobnie jak wielu współczesnych melomanów indyjskich zerwał z

tradycją jedności tańca i muzyki. Mówił nam też, iż muzycy przygrywający do tańca wyśmiewani są przez czystej rasy muzyków i w związku z tym do akompaniamentu stawiają się zwykle muzyczni partacze. Nie mogłem się z nim zgodzić, gdyż akompaniament do tańców karnatyckich nieraz bywał znakomitym, poza tym w tej tradycji grywano klasyczne kompozycje niewykonywane na „nietańczonych koncertach”.

Następnego dnia była Wigilia. Jako ateści nie jesteśmy przywiązani oczywiście do tego święta, jednakże czuliśmy potrzebę skontaktowania się z naszymi rodzinami. W międzyczasie nasi indyjscy przyjaciele wydzwaniali do nas składając życzenia, za które gorąco im dziękowałem, albowiem płynęły ze szczerego serca. Podkreślałem jednakże, iż równie dobrze to ja mógłbym im życzyć „Happy Christmas”. Rykszarze tego dnia byli bardzo serdeczni, choć oczywiście przy kościołach starali się dyktować strategicznie opracowane ceny. Tym niemniej odpowiadałem uprzejmie na ich miłe życzenia.

Wieczorem poszliśmy z Navaneetem na szczególnie udany koncert. Śpiewała R. Vedavali, bardzo stara już mistrzyni, nadal na najwyższym poziomie finezji i jogicznej pełni dźwięku. Koncert R. Vedavali odbywał się w szczególnie miłej, stosunkowo małej, lubianej przez obdarzonych dużą wiedzą tamilskich koneserów. Podobnie jak większość cenionych audytoriów znajdowała się ona w Mylapore, przy małej, prawie wiejskiej uliczce, tuż przy wspaniałym parku. Po koncercie spotkaliśmy się z osiadłym na stałe w Chennaju uroczym Anglikiem, który pokochał kulturę tamilską. Podobnie jednak jak Navaneeta, nie stać go było na mieszkanie w samym Mylapore, choć starał się trzymać jak najbliżej, skazując się na komary przylatujące z kanału, w większych znacznie ilościach niż te nasze (choć ciężko w to uwierzyć!). Inną osobą spotkaną po koncercie była uczennica R. Vedavali, znakomita młoda artystka, która zaprosiła nas na swój koncert, po czym wsiadła na motor i ruszyła w iście rajdowym stylu.

Przed R. Vedavali mieliśmy okazję słuchać koncertu słynącego

z muzycznej erudycji Seeketharama. Na wstępie Navaneet zauważył, iż wielu karnatyckich śpiewaków boryka się z całkowitym brakiem dobrego głosu. Utarło się bowiem, od jakiś 20 – 30 lat przekonanie, iż muzyka jest przede wszystkim drogą samodoskonalenia i samodzielnej medytacji, zaś jej przyswojenie oznacza tylko i wyłącznie pracę, krok po kroku. Materiał wyjściowy do tej zaszczytnej sadhany bogini Saraswati nie ma znaczenie... Takie utopijne podejście, z którym można się też spotkać w różnych książkach o nauce karnatyckiego śpiewu (niektóre są dostępne na PDF w sieci) stało się możliwe tylko dzięki rozwojowi technik nagłaśniających. Seeketharam śpiewał z mikrofonem między zębami i gdy tylko, porwany emocjami, poruszał głową, jego głos całkowicie zniknął. Bez elektroniki był chyba tylko wątłym szeptem. Poza tym rzeczywiście, artysta obdarzony był niezwykłą wyobraźnią muzyczną i realizował wszelkie elementy improwizowane w sposób nieoczekiwany, zachwycając znawców. Jednakże przy tak słabym głosie brakowało w jego występie ras, muzycznych emocji. Patrzyliśmy na kartkę papieru zapisaną równaniami matematycznymi, melodie Seeketharama pozbawione były oddechu i życia. Gdy zwróciłem na to uwagę Navaneetowi, był szczerze ucieszony trafnością moich uwag. Gdy skończyło się Ragam – Tanam – Pallavi, poszliśmy do kantyny, gdyż w sali Vidya Bharti, w której właśnie byliśmy, kuchnia była szczególnie dobra, o niemal domowym smaku. Już z nad jedzenia dobiegała do nas ostatnia, lżejsza część koncertu, która tym razem wcale nie była taka lekka, lecz pełna uczonej erudycji. Pomimo słabego głosu śpiewaka, koncert był bardzo udany. Mimo to nie celebrowaliśmy każdego koncertu tak jak w Delhi, siedząc na sali od momentu strojenia instrumentów po ostatni dźwięk zamykającego utworu. Niezmierzone bogactwo koncertowe Chennaju nauczyło nas uciekania z koncertów po ostatnim dźwięku Ragam – Tanam – Pallavi i nie spieszenia się na pierwsze varnam. Część publiczności wychodziła nawet po Tanam, nie będąc ciekawą popisów perkusistów, jeśli nie grał ktoś choćby w połowie tak wielki jak R. Murthy. W innym razie nie byłoby możliwe jedzenie w trakcie dnia, a także przemieszczanie się z sali do

sali. Choć, jak już wspomniałem, z jakieś 60% koncertów odbywało się w trudnych do zliczenia audytoriach Mylapore, to dzielnica ta była całkiem spora, ciągnąca się kilometrami w różne strony. Przełykając appa, Navaneet zazdrościł północnoindyjskim śpiewakom ich higieny wokalne. Faktem było, iż śpiewacy – erudyci bez głosów cieszyli się na niespokojnej Północy niskim poważaniem i nadal, jak w bezmikrofonowych czasach, ceniono dobre głosy, których nie brakowało. Navaneet, podobnie jak niejeden Południowiec, spędził sporą część swoje życia na południowo – północnym pograniczu. Mógł to być rejon Hyderabadu, lub bardziej popularna Maharashtra z wielkimi ośrodkami Mumbaju i Pune. W obydwu miejscach kultury karnatycka i hindustańska mieszały się, zaś ich mieszkańcy poruszali się dość często w obydwu tych czasach, nie pozwalając sobie na ograniczający, kulturalny szowinizm. Navaneet był tamilskim braminem, który większą część swojego życia spędził w Mumbaju, dzięki czemu rozumiał muzykę hindustańską i potrafił docenić jej mocne strony. Językiem marathi posługiwał się nawet lepiej niż tamilskim. Poza tym znał świetnie angielski i hindi.

Vedavali pięknie wynagrodziła nam niedostatki koncertu swojego co najmniej o 40 lat od niej młodszego kolegi artysty swoim nadal pełnym i mocnym, pełnym ras (indyjskich katharsis) głosem. Tu dodam na marginesie, iż pomimo licznych migracji spowodowanych koncertowym urodzajem, tamilska publiczność zachowuje się o niebo lepiej od delhijskiej. Podczas koncertów ludzie nie gadają, nie rozlegają się dzwonki telefonów, nikt, lub prawie nikt nie łązi podczas trwania utworu, nie przyprawdza się wrzeszczących dzieci zbyt młodych jeszcze, aby się nie nudzić na koncercie. Natomiast głośna jest aprecjacja samego koncertu. Najczęstszym dowodem uznania są głębokie, niemal erotyczne w brzmieniu westchnienia, oraz cmokania. Liczenie rytmu niektórzy wykonują z taką siłą iż słycać donośne klaskanie, co jednak nie podoba się bardziej stonowanym słuchaczom, którzy liczą rytm po cichu. Navaneet należał do szczególnie głośnych mierników jakości koncertu,

dlatego przeważnie wolał siedzieć na balkonie. Co jakiś czas upewniał się, czy jego ekspresja nie przeszkadza nam w odbiorze muzyki, a my zapewnialiśmy go, iż wszystko jest dobrze. W końcu przybyliśmy z Północnych Indii, zaś hałasy Navaneeta płynęły z artystycznej wrażliwości, ucząc nas przy okazji, na jakie elementy muzyki karnatyckiej warto zwrócić uwagę.

Wieczorem postanowiliśmy zobaczyć, jak się obchodzą Wigilię indyjscy chrześcijanie. Wybraliśmy bazylikę świętego Tomasza, gdyż mieliśmy ochotę zobaczyć pewną wielką, wodnistą rzecz znajdującą się w jej pobliżu. Neogotycka bryła fantazyjnej budowli unosiła się jak sen E.A. Poe nad wciąż jeszcze pełną ruchu ulicą. Wokół niej zebrali się wierni, lecz co ciekawe, pierwszą pieśnią którą usłyszeliśmy, była Mahamantra sławiąca Ramę i Krisznę. Wynikało to zapewne z tego, iż Hindusi, będąc w dużej mierze politeistami, obchodzą wszelkie możliwe święta i czczą wszystkich dostępnych w danym miejscu bogów. Dla wielu indyjskich wajsznawów Jezus był wcieleniem boga Wisznu, podobnie jak Kriszna i Rama, choć oczywiście nie tak ważnym. Lecz święto to święto... Po Mahamantrze nadszedł czas na tamilskie pieśni bożonarodzeniowe, w różnym stylu. Przy murach bazyliki sprzedawano za bardzo wysokie ceny artykuły bardzo dla Hindusów egzotyczne, to znaczy różne ozdoby choinkowe, mikołajów, a także angielskie i amerykańskie ciastka sprowadzone za wysoką cenę z jakichś zamorskich piekarń. Tłumu ludzi doglądali lokalni księża, co oznaczało, iż św. Tomasz jest przybytkiem katolickim mimo bardzo anglikańskiej estetyki. Jak zwykle w Indiach podczas świąt, panowała bardzo przyjazna atmosfera. Ludzie nie tyle byli rozmodleni, co raczej rozbawieni. Kaja zrobiła krótki reportaż filmowy i udaliśmy się w stronę oceanu, który znajdował się po drugiej stronie kościoła, oczywiście poprzedzony dwustoma, lub trzystoma metrami plaży. To chyba właśnie bliskość oceanu pozwoliła powstać ważnemu przybytkowi chrześcijaństwa bez burzenia odległych o ledwie parę kilometrów starych hinduistycznych świątyń. Najpewniej Portugalczycy nie



sprawowali pełnej kontroli nad oddalonymi od okolic nadmorskich terenami współczesnego Chennaiu.

Plaża w środku nocy wyglądała niezwykle. Białe światło księżyca migotało na tajemniczych falach, mówiących mi zawsze o miliardach lat istnienia życia na Ziemi, o wielkiej ciszy, pełnej prostych bakterii, z której dopiero na sam koniec wyłoniły się możliwe do dostrzeżenia naszymi oczami organizmy wielokomórkowe. Ocean zawsze stanowił bramę na jeszcze większy ogrom, na czerń nocnego nieba, na otwarte bramy kosmosu. Choć wielu starożytnym ocean wydawał się synonimem ogromu, to choć tak nas niekiedy przytłaczający jest on tylko pyłkiem wobec kosmicznych rubieży. Nadszedł mój czas na skontaktowanie się z rodziną, zadzwoniłem zatem do mojego brata. Jako, że żaden z nas nie był bynajmniej oddanym uczestnikiem pasterek, podszedłem do majestatycznych fal i przesłałem za pomocą sieci Airtel do Polski szum Oceanu Indyjskiego. To był chyba dobry pomysł, sądząc po późniejszych netowych komentarzach mojego drogiego brata. Wokół nas, jak na Indie, nie było prawie nikogo, choć od biedy można było dostrzec grupki hinduskich romantyków. Usiedliśmy na piasku i trwaliśmy czas jakiś w takim przyjemnym stanie. Ocean to poważna sprawa. Nie wiąże się z nim tylko radość, spokój, relaks. Plażowanie wydaje mi się jakąś dziwną niekiedy perwersją kultury masowej. Ocean to nasz dawny dom, który być może powolutku powstawał z bombardujących młodą Ziemię komet. Po dziś dzień żyją w oceanie najbardziej starodawne organizmy, przy których nasza ludzka „dawność”, wszystkie Wedy, eposy, Gilgamesz, to zupełne nic. Teraźniejszość i czasu Sumeru to nawet nie ułamek sekundy wobec historii trwania naszej pradawnej kolebki i jej mieszkańców. Tym niemniej przyjemnie się siedziało na piasku. Noc była ciepła i przyjemna, trudno jest chyba zmarznąć w Chennaiu...

Następnego dnia czekał na mnie ryż. Dużo ryżu! Zapowiadałem już chyba, iż w moim pamiętniku pojawią się elementy grozy. Jeśli nie – to zapowiadam TO teraz... Umówiliśmy się z

Navaneetem na lunch w kantynie Madraskiej Akademii Muzycznej, gdzie czekał nas oczywiście później dobry koncert. Nasz przyjaciel przedstawił nam tam swoją siostrę i jej męża, będących uroczym małżeństwem bardzo zeuropeizowanych indyjskich biznesmenów. Navaneet, jak to on, gdzieś zniknął, wdając się w rozmowy z setkami znajomych muzyków i melomanów. Z podobnym do książki telefonicznej rozkładem koncertów muzycznego sezonu w Chennai naradzał się też z zaufanymi znawcami co do wyborów muzycznych na następne dni. Było to nam na rękę, gdyż o ile znamy większość dobrych wykonawców muzyki hindustańskiej, to morze długiach nazwisk wielkich gwiazd Południa, poprzedzonych zazwyczaj skrótami imion typu R., J.G., M.S. nie leżało jeszcze zbyt dobrze w naszych biednych głowach. Siostra Navaneeta, obdarzona wdziękiem i zadziornością właściwymi tylko hinduskim damom, tłumaczyła nam, iż nie ma zbyt wiele wspólnego z muzyką i przyszła tu z mężem spotkać w końcu brata, no i nas, jego europejskich przyjaciół. Bardzo ją cieszyło, iż stanowimy dla „biednego Navaneeta” odmianę wobec stałej i niezmiennej socjety Tamilów dyskutujących tylko o Tyagarajy, winach, mridangamach i kondycji głosowej różnych N.L.P. Myrthaparasthamapathanów z Mysore (nie mylić z tymi z Hyderabadu). Choć i my należeliśmy do klanu bezproduktywnych ludzi sztuki, bardzo miło mi się rozmawiało z tymi konkretnymi w jakiś niezwykle ciepły sposób „do przodu” Hindusami. Widząc jak obszerny w góry ryżu jest mały meal, nie chcieliśmy bynajmniej zamawiać dużego lunchu. Okazało się jednak, iż smal meal je się w jednym miejscu, zaś pełny lunch w innym. Pierwsze miejsce składało się z okrągłych stolików, zaś drugie, znacznie rozleglejsze, konstituowały wielkie ławy, gdzie umazani ryżem Tamilowie i Tamilki wchłaniali istne Himalaje tych białych, bagiennych ziarenek. „Ratunku!” – wrzasnąłem w myślach, – „Oddam królestwo za pszeniczny placek! Albo niech mi dadzą choć łyżkę kochanej, swojskiej mąki, bym mógł choć na nią patrzeć znosząc te ryżowe tortury!”. Nie istniała jednak żadna możliwość odwrotu. Zanim się zorientowaliśmy, rodzina Navaneeta kupiła nam obiadowe kupony i już siedzieliśmy przy wielkim stole nakrytym liśćmi

bananowca, tym razem bez żadnych światowych żelaznych talerzy. Mieliśmy do dyspozycji tylko liście, palce i przełyki. Żadnych sztuców, nic. No może były miseczki na wszelkiej maści sosy, które i tak należało po prostu nalewać do ryżu, tak, że wszystko mieszało się ze wszystkim, słodkie ze słonym, ostre z mlecznym itp. Stał się jednak cud! Nie mogę powiedzieć, aby ryż mi smakował podobnie jak palak paneer, jednakże zajadałem z przyjemnością i prosiłem o dokładki sosów i innych dziwnych dopełnień ryżu. Mój żołądek zamieniał się w kulę i jęczał nieszczęsny, a ja jadłem, jadłem i jadłem. Z zewnątrz dobiegały oczywiście dźwięki jakiegoś koncertu. Lunch funkcjonował jak szwedzki stół, co jakiś czas chodzili mili, choć bardzo swojscy kelnerzy i dokładali bez umiaru. Jedynie o sambar trzeba było wołać kilka razy, gdyż był w kantynie MAM szczególnie udany i schodziło go niemal tyle samo, co ryżu. Co ciekawe, moja kochana Kaja, która zawsze lubiła ryż w przeciwieństwie do mnie, była nieco zielona na twarzy i nie za bardzo skora do wspinaczki na ryżowy Mont Everest. Zhindusiałem chyba bez reszty i to nawet, o dziwo, po tamilsku. Gdy z ogromnym trudem wstałem od stołu, aby umyć ręce (były pobrudzone po łokcie, jakieś 2 centymetry wyżej niż u przeciętnego Tamila, na twarzy również miałem wielce seksowną maseczkę z ryżu z sambarem), czułem się dobrze. Pomyślałem sobie, iż można przywyknąć do tej nieco monotonnej, ale zdrowej kuchni. Owa stała, ryżowa podstawa była zresztą podobna do dolatującej do nas muzyki. Również karnatyckiej varnam mają w sobie ową nienaruszalną, udomowioną monotonię muzycznych zwrotów, przypominającą trochę barokową operę, która komuś, kto jej nie lubi wyda się zawsze taka sama. Tym niemniej należą one do najpiękniejszych i najbardziej wyrafinowanych form światowej muzyki klasycznej, co można też powiedzieć o niektórych operach barokowych (stawiam na Monteverdiego, który jednakże działając u progu epoki wolny był w dużej mierze od konwencjonalizmu).

Wpierw zatem poszliśmy do MAM na koncert Abhisheka Ragurama ze znakomitym, „wokalnym” skrzypkiem Mysore Manjunathem.

Wszyscy zamarli, gdy genialny wiolinista powtarzał długą na kilkanaście minut wokalną improwizację zaśpiewaną przez Abhisheka na progu Tanam. Następnie nasze drogi z Navaneetem się rozeszły, gdyż chcieliśmy zobaczyć dobry taniec, co okazało się możliwe w audytorium mieszczącym się na terenie cenionej w Chennai szkoły ogólnokształcącej. Była to wielka sala, z wielkim balkonem. Tańczyła Malvika Sarukkai, która opracowała na bazie bharatanatyam rewelacyjną choreografię na temat Gangi – zarówno mitycznej bogini, jak i rzeki, borykającej się z zanieczyszczeniami etc. Co jakiś czas powracał refren taneczno – muzyczny płynącej rzeki. Tak dobrego bharatanatyam jeszcze nigdy nie widzieliśmy. Spontaniczność, szybkość i precyzja tancerki nie miały sobie równych. Różne nowe elementy dodane do nowej choreografii w żaden sposób nie raziły, lecz dopełniały całości.

Wieczorem, jak zwykle, kupiliśmy w pobliskim do naszego hotelu sklepiku wodę i charakterystyczne dla Tamilnadu przekąski, coś w stylu europejskich nugatów, z cukru, z prażonego ryżu. Przypominały bloki sklezione cukrem i były o wiele smaczniejsze od fabrycznych ciastek. W różnych miejscach Chennai odkryliśmy lokalną sieć nietypowych supermarketów, które to oferowały kadzidła, tradycyjne przekąski i jakby wszystko to, co w zwykłym, kosmopolitycznym supermarkecie, lecz przesiane przez twórcze sito kultury hinduistycznej. W hotelu mieszkali w tych dniach Europejczycy, choć nadal większość stanowili Hindusi, z których część była muzykami i tancerzami, sądząc po rozchodzących się do późna w nocy odgłosach śpiewu i dzwonienia dzwonkami na stopach. Owi Europejczycy, Niemka i grupa młodych Chorwatów, traktowali niestety Chennai jako przystanek na drodze do „prawdziwych Indii”. Nie było tu ani dostatecznie starych, malowniczych świątyń, ani piasków Goa, na cóż więc było zostawać w mieście, gdzie działali obecnie najlepsi karnatyccy tancerze i muzycy, i gdzie – jeśli ktoś chce – łatwiej było spotkać prawdziwych, wykształconych w swojej tradycji braminów, niż w modnych turystycznie świątyniach, gdzie może kapłani prezentowali się

bardziej malowniczo, lecz często mieli w głowach jedynie rachunki bankowe. Nas zadziwiał swoją wiedzą Navaneet. Swobodnie i ze swadą mówił o różnych hinduistycznych tradycjach i był bardzo wolny, jak na wierzącego hinduistycznego bramina, w swoich sądach. Sam należał do szkoły Adi Shankary, do Adwajty, która uważa między innymi muzykę za drogę do zjednoczenia z bezpostaciowym brahmanem, czyli ani tym, ani tamtym. Navaneet szanował wszystkie tradycje religijne i filozoficzne, miał jedynie słuszne pretensje do chrześcijan za trwające przez długie wieki niszczenie indyjskich wierzeń. Dowiedział się nawet, iż kościół dawno już uznał za baśniową legendę o św. Tomaszu w Chennai, co jednak nie przeszkadzało wizytującemu Chennai papieżowi utwierdzać „dla dobra wiary” ludzi w tym, co uznano za baśń, i co było nie było przyniosło liczne prześladowania tamilskich hinduistów, których podobnie jak Żydów oskarżano o nieprawdziwe winy ich przodków. W grobowcu nie skrywającym żadnych szczątków nadal stoi rzeźba złego Tamila popełniającego zbrodnię na nieistniejącym w tych rejonach świętym, nadal przychodzą tu naiwne hinduskie chrześcijanki, które wierzą uczącym je zakonnikom tak jak w Indiach uczeń powinien bezgranicznie wierzyć guru.

<https://www.youtube.com/watch?v=tKZLFEGJp-o>

Następnego dnia zobaczyliśmy znakomitą śpiewaczkę, której nazwiska nie zdążyliśmy niestety zanotować, oraz Malladi Brothers, uchodzących za jednych z największych muzyków karnatyckich. Słyszałem ich wcześniej w Delhi, lecz dla własnej publiczności, znacznie serdeczniejszej od północnoindyjskiej, starali się znacznie bardziej. Był to, jak zwrócił uwagę Navaneet, męski styl śpiewu. Czysty, konstrukcyjny i pełen mocy. Malladi Brothers posiadali świetne głosy i mogli sobie na to pozwolić. Na ich koncercie czułem się jak w jednostce tamilskiego, muzycznego wojska. Wrażenia militarystycznej siły dopełniał drugi po Murthym sławny karnatycki mridangamista, Trichy Sankaram. Potężne, starannie

wyliczone uderzenia starożytnego bębna Sziwy bardzo pasowały do masywnych murów dźwiękowych budowanych przez głosy genialnych braci.

(ciąg dalszy nastąpi)

[Zobacz inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)